

Jerzy S. Wasilewski

Ludwik, przez przypadki

1

Ludwik. Wystarczało powiedzieć samo imię, zresztą nieczęste, a i tak wiadomo było, o kogo chodzi. Wysoko wyrastał ponad otoczenie i wystawał poza nie. Na uczonej konferencji do listy obecności, na której z boku widniały dwie rubryczki, wedle życzenia uczestników, „Kawa” i „Herbata”, dopisywał swoją – „Piwo”. Mówił mi kiedyś, że jego sen-koszmar to taki, w którym widzi siebie grającego w orkiestrze gdzieś w drugich skrzypcach. Był solistą, nie chórzystą – w pracach akademickich, w publicystyce, w życiu towarzyskim, któremu przewodził z najwyższego miejsca za stołem. Nie znałem nikogo, kto by tak jak on umiał łączyć pracę, niewiarygodnie intensywną i produktywną – dziesiątki mądrych książek, setki celnych felietonów, tysiące godzin ciekawych wykładów, wywiadów i wypowiedzi – z szaleńczo birbanckim stylem życia.

Głowa naładowana elektrycznością. Niepowstrzymany w obmyślaniu konceptów, imponujący i drażniący talentami. Egocentryk bez krzyny egoizmu. Serdeczny przyjaciel, trudny do wytrzymania partner. Przenikliwy w rozpoznawaniu ludzi, irytujący bezceremonialnością werdyktów. Rozdawał oceny, ustalał hierarchie, wyrokował o bezwartościowości. Gdyśmy już we trzech „zostali przy Katedrze” (tak się wtedy mówiło), zmuszał nas, czyli Zbyszka Benedyktowicza i mnie, byśmy tworzyli różne listy i rankingi, np. 10 najlepszych polskich etnografów – zastrzegając dla nas, ledwie magistrów, trzy pierwsze miejsca *ex aequo*.

2

Pojawienie się Ludwika na moim horyzoncie to czerwiec pamiętnego 1968 roku, czyli zaraz po Marcu. Zobaczyłem go najpierw na liście kandydatów na etnografię na UW (było nas 140 osób na 10 miejsc). Co ja przeżyłem, widząc to nazwisko – najlepsze, jakie można było wtedy nosić, zważywszy na imponująco godną postawę jego ojca, Stanisława Stommy w ówczesnym sejmie. Ale swoim wyglądem na egzaminie wstępnym mnie zawiódł: niewysoki, a jeśli pominąć rzymski profil, to wyglądał mi na jakiegoś śląskiego *pieruna* – w jego sylwetce

pięściarza pomniejszej wagi (podobno boksował) i w kołyszącym się kroku nie było nic z młodego dziedzica litewskich antenatów, jak go sobie wcześniej wyobraziłem ja – jakby nie było, też syn kresowej rodziny (wtedy takie pochodzenie miało jeszcze pewne znaczenie w poczuciu tożsamości i budowaniu więzi). Ale też – jak doszło do mnie niebawem „po znajomości” – jego egzaminacyjna praca pisemna na temat genezy drugiej wojny światowej była napisana tak znakomicie, że wszyscy pracownicy Katedry zbiegli się, by ją oglądać. Słabym pocieszeniem było dla mnie, gdy z tych samych źródeł dowiedziałem się, że na ustnym to ja wypadłem lepiej – najwyraźniej jego krasomówstwo musiało się jeszcze rozwinąć.

3.

Ludwikowi zawdzięczam tak wiele także dlatego, bo jego inspirująca i wzorcotwórcza obecność przypadła na moje najbardziej formatywne, studenckie lata, zmniejszając się potem w miarę rozchodzenia życiowych dróg.

Więcej dał niż wziął – nie tylko jeśli o mnie chodzi. Cała nasza dyscyplina zawdzięcza mu radykalny zwrot orientacji, niebywałe ożywienie badawcze i kolosalny wzrost atrakcyjności dydaktyki. On sam mianował to „nową etnologią”, nie bacząc na to, że w znacznej mierze były to działania wcale nie awangardowe, ale raczej przypomnienie i wykorzystanie zapomnianych klasyków. Gdzieindziej mówię więcej o jego wkładzie do naszej nauki; tu parę tylko szkicowych kresek¹.

Imponująca systematyczność pracy, przekładająca się na systemowość ujęcia. Spenetrowanie całego korpusu publikacji źródłowych polskiej etnografii, łącznie z wszystkimi tymi zapomnianymi ZWdAK-ami i DWOK-ami, niezliczone fiszki z wypisami z tych źródeł, dowodzące słuszności danej tezy zestawienia ilościowe, sumujące się bezbłędnie acz podejrzenie do stu procent – ktoś powiedział wtedy, że taka statystyka to jak w wyborach w północnej Korei.

Efektom tej faktografii były tezy i terminy, które weszły do języka naszego środowiska. Miał Ludwik rękę do tworzenia haseł, lapidarnie syntetyzujących całą konstrukcję. *Orbis interior – orbis exterior*: brzmi jak z Eliadego (a nie był jego naśladowcą), ale para ta wpasowała się w elementarną strukturyzację treści kultury ludowej, jaką całościowo zaprezentował.

I przede wszystkim Alkmena – tytułarna patronka kanonicznego artykułu; piękne imię (gdyby Ludwik miał córkę, a nie trzech synów, to tak powinien ją

¹ *Wspominając Ludwika, czytając Stommę*, „Etnografia Polska” (w druku).

nazwać), które wymieniał już Frazer, pisząc o magii węzłów, ale jakże dalekie to jeszcze było od przełomowego tekstu *Mit Alkmeny*, w którym wzorcowo przeprowadzone jest rozumowanie: inspirujący punkt wyjścia, poszerzenie materiałowe, budowana na tym teza, z tezy tej wynikająca konieczność sięgnięcia po nowy materiał, z jego analizy wyrastająca kolejna teza wyższego poziomu – i tak po trzykroć... Jeszcze dziś zadaję studentom ten tekst do streszczenia w punktach jako arcydzieło konstrukcji i logicznie prowadzonego wywodu – i nic dziwnego, że streszczenia te są zawsze wzorowo logiczne.

4.

A przecież Ludwika także oskarżano – skoro czwarty przypadek to *accusativus*, napiszę i o tym. Najpoważniejsze z oskarżeń – dotyczące rzekomego odnalezienia w nadbużańskiej wsi nieistniejących palików, jakoby sensacyjnych śladów archaicznego kalendarza – nie doczekało się jego poważnej odpowiedzi. Próbowali to robić młodszy koledzy, którym Ludwikowa autorytatywność przesłaniała oczywistą zasadność tej krytyki, mającej naprawdę ciężki kaliber. A ja sam? No cóż, kiedy w rok czy dwa po tym doktoracie (a więc jeszcze na długo przed publikacjami krytycznymi) pojechaliśmy razem do owego Skordiowa, to o inkryminowanych palikach prawie nie mówiliśmy; Ludwik pewnie „wiedział, że ja wiem” – byłem jakoś świadom ich fikcyjności, ale nie odczuwałem oburzenia. Przyjmowałem po prostu, że jemu wolno więcej: że dla dobra schematu, modelu, teorii – które były naszym celem i wartością nadrzędną – może nawet posłużyć się sfingowaną faktografią. A zresztą – że taki on już jest...

Wiele lat później, już po wyjeździe do Francji, kiedy drogi nam się bardzo rozeszły, w trakcie którejś ze sporadycznych wizyt u mnie, późno w noc, nad kolejną butelką białego wina, wyznał mi Ludwik taką oto prawdę: „Jeżu (tę formę mojego imienia wprowadziło do obiegu rodzeństwo Stommów, ale stworzyła ją ich Mama), pamiętaj, że najważniejsze w życiu to mieć bajer”.

O co zatem obwiniałbym go dzisiaj, skoro jakoś rozgrzeszam jego postawę, że owszem, należy wyjaśniać i oświetlać, ale trzeba przy tym samemu zabłysnąć? Może o to, że wraz z wyjazdem zaniechał prac w kierunku systemowego ujęcia kultury, które sam tak efektownie zainicjował? Że całą energię włożył w erudycyjne penetrowanie zakamarków i smaczków historii, która okazała się dziedziną bliższą mu niż etnografia; że nie wszedł w dialog z współczesną myślą etnologiczną; że w tyłu jego książkach antropologia tylko się przewijała, ale nie była ani przedmiotem ani konsekwentną metodą; że zacierał granice między wiedzą akademicką a publicystyką?

O osobistych powodach do pretensji zapomniałem – nawet o tym, jak koszmarnie wystrzygł mnie któregoś późnego wieczora, kiedy nagle zorientowałem się, że nazajutrz idziemy „na wojsko” – mamy w okropnych polowych mundurach i ciężkich kamaszach stawić się rano na cotygodniowe zajęcia na Studium Wojskowym UW – a ja jestem nieregulaminowo zarosnięty. Była w tym jego fatalnym fryzjerstwie oczywiście figlarna złośliwość – przez kilka tygodni oglądano się za mną na ulicy².

Ale dość resentymentów, a ktokolwiek jeszcze – mężczyzna czy kobieta – żywi wobec Ludwika dawne żale i pretensje, niech ma na uwadze zdanie poważnego filozofa (też Ludwika), którego i ja posłucham: *Wovon man nicht sprechen kann, darüber muß man schweigen*.

5

Przyjaźnić się z Ludwikiem w okresie młodości – to oznaczało znaleźć się na szczycie nie byle jakiego łańcucha towarzyskiego. Miało to swoje dobre i złe strony. Codziennie komentarze i przecieki polityczne od jego ojca albo świeże dowcipy antyreżimowe, wyprodukowane przez Kisiela – przyjaciela rodziny. Wspólne wizyty na salonach, do których wchodziło się z Ludwikiem i dzięki niemu, a w tych salonach też byli ludzie niepowtarzalni, jak np. Ludwig Zimmerer – pasjonat sztuki ludowej, nieprofesjonalnej i szalonej. To Ludwik inicjował nasze przyjacielskie – a nie tylko służbowe – kontakty z rówieśnikami z innych uniwersytetów, dzięki czemu etnografia przechodziła płynnie w towarzyską zabawę. Otoczony kręgiem przyjaciół – i przyjaciółek – utrwalał swą pozycję naukową poprzez towarzyską i odwrotnie. Nie wiem, czy

² Przez tę swoją fryzjerską przysługę Ludwik stracił sposobność usłyszenia – i włączenia do *Stommowiska* – tej reprimendy, jaką dostałbym za pojawienie się z długimi włosami: jeśliby kontrolny apel prowadził pułkownik M., który strofował nas epitetami teatralnie grubiańskimi, ilekroć miało się przekrzywiony pas albo nieprawidłowo zawiązane sznurowadła, byłoby to: „Szeregowy, czemu wasz mundur taki zarzygany!”; gdyby natomiast trafił się major S., który starał się odróżniać od swoich kolegów i używał polszczyzny wyszukanej, choć nie zawsze sobie z nią radził, byłaby to elokwentna nagana: „Żołnierzu, wasz wygląd jest rażąco pokątny”. Tak, ówczesne „wojsko” bardzo nas wszystkich łączyło; tym niemniej zastrzegę, że anegdota z moim heroicznym udziałem, przytoczone w *Stommowisku*, nie mogą być tu autoryzowane.

kiedykolwiek wcześniej albo później etnograficzne życie akademickie i biesiadne były tak ze sobą zespolone.

A te złe strony? Będąc w cieniu Ludwika trzeba było walczyć o własną autonomię, tak by nie zejść do roli „świty” czy ogona komety (później miał już kilku, młodszych o pokolenie, bardzo mu oddanych przyjaciół-adiutantów). Jego pewność siebie w każdym towarzystwie, śmiałość w zabieraniu głosu na każdy temat – i przecież z reguły trafnie i mądrze – sznurowała usta osobie, która nie umiała być stale „na pokaz”. Jego przekonanie o własnej słuszności niezmiernie utrudniało – nie mnie jednemu – proces krytycznego wyplątywania się spod jego intelektualnych wpływów i weryfikowania jego ustaleń.

6

Przy Ludwiku nie sposób się było nudzić. Jego poczucie humoru było isticie rablezjańskie: powoływał się na zdanie tegoż autora, iż „dobry żart powinien być jak pierdnięcie hipopotama” (nie znalazłem w *Gargantui i Pantagruelu* tego cytatu). Pewnie nie od razu się do takiego stylu przekonałem, bo też akademickie otoczenie wymuszało raczej pozbywanie się tych chłopacko-podwórzowych, nieokrzesanych rudymentów niedojrzałości na rzecz wyrafinowania – taki jest sens każdej edukacji, a co dopiero tej wyższej. W trakcie wykładów, zgoła równoległe do nich, dostawałem jednak od siedzącego obok Ludwika, jak z radyjka, głosem, owszem, przyciszonym, ale tylko nieznacznie – a salki ówczesnej Katedry nie były duże – taką dawkę złośliwych komentarzy, dowcipów i żarcików, że ledwie udawało mi się tłumić śmiech. Jednoosobowa loża szyderców. Nieprzyzwoite limeryki, dowcipy o torpedzie z radzieckiej łodzi podwodnej, o tenorze i jego operowych ariach, o *matrosach* floty czarnomorskiej, goszczących w Casablance – dzięki nim odkrywałem zawartą w świntuszeniu pomysłowość, urok rubaszości i urodę brzydkich wyrazów. Tych ostatnich Ludwik bynajmniej nie unikał, ale w jego ustach zawsze brzmiały jak uprawniony i efektowny środek ekspresji. W szczególności materia wydalnicza nie była mu wstydliva – obiecywał, że zrobi sobie wizytówkę: *Ludwik Stomma – koprolal*. Jego opowieści były czasem tak przesadzone, że wydatnie nadwyrężały jego wiarygodność; potem okazywało się jednak, że w zmyśleniu było coś z prawdy, a rzeczywistość była niewiele mniej groteskowa niż on chciał ją widzieć. Nie muszę mówić, że ten bezlitośnie prześmiewczy stosunek do świata łączył się u niego ze znawstwem i miłością do poezji romantycznej, z serdecznością i wrażliwością. Czuły barbarzyńca, można powiedzieć.

Ludwiku! Ale właściwie do kogo to mówię, dla kogo piszę? Ci, którzy Cię znali, i tak to wszystko wiedzą, a ci, którzy nie znali, z tych fragmentów wiele nie odtworzą. Piszę to dla Ciebie – tego Ciebie, którego chce zachować w pamięci w takiej właśnie postaci – jako druha z własnej młodości, takiego, jaki zostanie mi po oczyszczeniu ze wszystkich zgrzytów i zadr, animozji i dysonansów, pretensji i niechęci; także po to, by naprostować to, co się nam pokrzywiło. Do Ciebie, któremu zawdzięczam tak wiele; i nie ja jeden – przecież tylu jeszcze będzie Ciebie takiego pamiętać i wspominać, odmieniając Twoje imię przez wszystkie przypadki.

A potem, gęsiego, odejdziemy i my.